

Marcin
WOLSKI

OSTATNIE KONKLAWĘ



Agent Góry

nimfa bagienna

Literatura może bawić, uczyć albo przymuszać do czegoś. To ostatnie czyni za pomocą obrazów pobudzających ludzkie emocje. Twórczość propagandowa może więc pobudzać nienawiść – jak ten radziecki plakat z czasów stalinowskich, przedstawiający przywódcę zachodniego mocarstwa, który nosi opaskę ze swastyką, ma zniekształcone rysy twarzy świadczące o moralnym zwyrodnieniu i podpisuje dokumenty ludzką krwią zamiast atramentem.

Propaganda może jednak pobudzać także uczucia pozytywne. W mikroopowiadaniu Marcina Wolskiego „15 sierpnia 2020” (napisanym w 1990 roku) odmalowane zostało śródmieście Warszawy XXI wieku, gdzie wznosi się dwustupiętrowy Agora Bank firmy Michnik, Wajda i Synowie, w pobliżu znajduje się znacznie od niego mniejszy Pałac Kultury i Nauki zamieniony na synagogę, a w kioskach można kupić „Tryzetę”, czyli dziennik powstały z połączenia „Trybuny Ludu” i „Gazety Wyborczej”. Po tej lekturze oczywiste już było dla czytelnika, że „Gazetę Wyborczą” należy kochać tak samo jak „Trybunę Ludu” i Żydów.

Marcin Wolski jest jednak doświadczonym autorem. Wprawdzie na skrzydełku swojej najnowszej powieści „Ostatnie konklawe” chwali się głównie utworami napisanymi w obecnym stuleciu, ale prawdziwą sławę przyniosły mu przecież dzieła z lat 70. i 80. XX wieku, że wspomnę „Matriarchat”, „Laboratorium nr 8” albo „Świnkę”. Zadebiutował bowiem w głębokim PRL-u, w drugiej połowie lat 60. w „Szpilkach” i „Żołnierzu Wolności”. To drugie pismo opublikowało w 1969 roku jego szopkę noworoczną, w której grzmiał przeciwko amerykańskim imperialistom, izraelskim syjonistom i rewanżystom z Niemiec Zachodnich.

Doświadczenie to widać także w najnowszej powieści Wolskiego, która reklamowana jest jako kontynuacja „Agentu dołu” z roku 1988. Przyznać jednak trzeba, że podobieństwa między tymi dziełami są dość powierzchowne. „Agent dołu” to powieść, „Ostatnie konklawe” to bardziej publicystyka w beletrystycznym opakowaniu. Na pewno jednak tym, co łączy oba utwory, jest specyficzna moralność, nadal żywa w pewnym odłamie konserwatystów. Na przykład w „Agencie...” znajdziemy na stronie 284 fantazję o gwałcie na śpiącej:

„Meff odczekał jeszcze półtorej godziny. Wolał, żeby Anita mocno zasnęła. Parę razy w życiu udało mu się wziąć szturmem panienki pogrążone we śnie. Później przeważnie okazywało się, że sen był symulowany. Zapewne dziewczyny uważały, że tak będzie przyzwoiciej.”

„Ostatnie konklawe” zaczyna się zaś obrazem czternastoletniej dziewczynki, która weszła do łóżka księdza (cóż z tego, że tak naprawdę wysłannika piekła, skoro skutecznie się maskował):

„A w końcu dla Latynoski kurestwo jest czymś powszedniejszym niż satanizm” (str. 7).

Nie jest więc zaskoczeniem, że autor występuje jako katolicki konserwatysta i obrońca konserwatywnych wartości w czasach ich upadku za pontyfikatu papieża Franciszka. „Ostatnie konklawe” powstało ewidentnie pod wpływem traumy, jaką dla katolickich konserwatystów okazał się wybór tego papieża. W największym skrócie: Przez świat przetacza się fala tajemniczych zabójstw kobiet o proroczych zdolnościach. Katolickie „Archiwum X”, kierowane przez księdza Mariusza Nowaka, odkrywa, że ma to związek ze zbliżającym się konklawe, wyszło bowiem na jaw, że jeden z kandydatów na papieża jest wysłannikiem piekła, jasnowidzące zaś mogą odkryć jego tożsamość. Tak się zaś składa, że jedną z owych prorokiń jest Weronika, pracownica TVP, ateistka i liberałka. Zespół pod kierunkiem księdza Nowaka musi ochronić ją przed mordercami wysłanymi z piekła, a

jednocześnie zapobiec szatańskim zakusom w Watykanie.

Na pierwszy rzut oka wygląda to nawet ciekawie, kto jednak spodziewał się czegoś w rodzaju katolickiej odpowiedzi na „Kod Leonarda da Vinci”, zawiedzie się ogromnie. Dan Brown napisał rozrywkową powieść sensacyjną, której intryga polega na rozwikłaniu zagadki ogólnoświatowego spisku. Autor „Kodu...” nie miał jednak zamiaru wyjaśniać jakichkolwiek tajemnic Kościoła, a wszelkie katolickie artefakty zostały w nim użyte z przymrużeniem oka jako rekwizyty pobudzające akcję. Natomiast Wolski nie chciał pisać powieści rozrywkowej, lecz dać świadectwo wiary, a zarazem świadectwo prawdy o współczesnym świecie. Jego najnowsze dzieło zostało więc napisane całkiem serio.

I całkiem serio za pomocą szeregu schematycznych obrazów ma ono zilustrować tezę, że środowisko tzw. konserwatystów (Rodzina Radia Maryja, Kluby Gazety Polskiej, PiS itp.) są samym dobrem, a ich przeciwnicy samym złem. Dostosowana do tych propagandowych celów akcja „Ostatniego konklawe” jest więc nikła i szablonowa, co chwila przerywana, aby bohaterowie mogli wygłosić wykład lub komentarz do aktualnego wydarzenia. Ot, choćby taki:

„Żeby to była tylko kwestia pustych kościołów, o wiele straszliwsze są puste dusze. Szermierzom postępu udało się odwrócić porządek świata – zło uczyniono dobrem, powinność wyparła indywidualna przyjemność, a życie stało się igraszką, w której Opatrzność nie ma nic do gadania. Rodzice mogą nas ukatrupić przed narodzeniem, a my sami możemy przyspieszyć swój kres za pomocą eutanazji. Dodajmy jeszcze, że przy ustalaniu <praw podstawowych> normalna większość pod wpływem oglupiających mediów uległa zboczonym mniejszościom. Zaiste, Sodoma i Gomora na tle współczesnego świata mogą wydawać się ośrodkami umiarkowania...”.

No cóż, są ludzie, dla których problemem jest, że z zapłodnionej komórki jajowej może powstać życie poczęte pod postacią zaśladiu groniatego. Albo cierpienie terminalnie chorych, czy też fakt, że normalna większość pakistańskich muzułmanów prześladuje zboczoną – ich zdaniem – chrześcijańską mniejszość. Marcin Wolski kieruje swoją książkę do ludzi, dla których rozważanie tego rodzaju zagadnień jest obrazą moralności. Po czym jednak możemy poznać, że Marcin Wolski i jego środowisko są wzorcami moralności? Dowody tego są dwa. Najważniejszym z nich jest wsparcie, jakiego udzielają im siły nadprzyrodzone. W szczególności liczyć mogą oni na magiczną siłę modlitwy oraz poświęconej ziemi, podczas gdy ich przeciwnicy wspierani są przez jak najbardziej materialnych wysłanników piekła. Dowodem drugim jest praktykowana przez nasze moralne ideały dyscyplina:

„Jest takie staroświeckie pojęcie jak dyscyplina. Nieuleganie złu i grzesznym chęciom. Mówi się, że ludzkie człowieczeństwo zaczęło się w momencie, gdy ludzie postanowili zapanować nad swymi popędami”.

Ciekawe jednak, że przy tym ciągłym podkreślaniu dyscypliny i panowania nad popędami autor nie oparł się jak zwykle pokusie zalania wszystkiego potokiem spermy (patrz str. 155 powieści). Skłonność do opisów ostrego, wulgarnego seksu jest zdumiewającą przypadłością wielu prawicowych autorów, której nie poddał się chyba tylko Andrzej Pilipiuk (w każdym razie sam się tym kiedyś pochwalił na forum Fahrenheita).

Oczywiście fragment o dyscyplinie jest ogólnikiem, pod którym mogliby się podpisać nawet skrajni lewacy, co tylko podkreśla gołosłowność zapewnień autora (szczegółnej opieki sił anielskich nad sobą też raczej nie jest w stanie udowodnić, pozostaje mu tylko fantazjowanie na ten temat).

W charakterystyczny dla socrealistycznego produkcyjniaka sposób autor umieścił w swym dziele postacie pozytywne, negatywne oraz wątpliwe. Postacie pozytywne poznać możemy po tym, że popierają polski wiejski katolicyzm i aktualną dobrozmianną władzę. Są to postacie na wskroś

przepełnione moralną dyscypliną, które nawet jeżeli znajdą się na skraju załamania (kłopoty sercowe księdza Mariusza), nigdy nie zejść z drogi Wiary. Ksiądz Mariusz jest więc chodzącym ideałem. Niczym kapitan Żbik z serii PRL-owskich komiksów jest nadzwyczaj sprawny fizycznie, posiada dużą wiedzę i wiele umiejętności praktycznych, które pozwolą grupce głównych bohaterów wykaraskać się z wszelkich kłopotów. Przede wszystkim jednak nie ulega żadnym pokusom, chociaż podczas pobytu w Watykanie liberalni wrogowie niesłusznie oskarżyli go o pedofilię.

Postacie negatywne – opozycjoniści polityczni (z KOD-u, PSL-u itp.) oraz religijni (przede wszystkim dość mglisty krąg katolickich liberałów) – działają, jak już było wspomniane, pod wpływem szatana, i zachowują się w sposób pod każdym względem odrażający moralnie (co przejawia się głównie w ich nieustannym myśleniu o wyuzdanym seksie). No i wreszcie mamy w powieści także postać wątpliwą w osobie jasnowidzącej Weroniki, która ostatecznie zdołała odnaleźć prawdę i nawrócić się na jedynie słuszną wiarę.

Człowiek spoza grupy docelowej powieści niewiele dowie się z niej nowego. Na uwagę zasługuje pochwała dokonywanych pod przymusem egzorcyzmów (przeprowadzone zostały na lesbijce Balbinie, przyjaciółce Weroniki), a także potępienie obojnactwa:

„ – Hermafrodyta! – Splunął z obrzydzeniem (ksiądz Rafał).” (str 368).

A przecież bycie hermafrodytą nie jest niczym wyborem moralnym.

Szczególną wrogość autora budzi koncepcja pustego piekła, choć nie jest ona chyba zbyt popularna. Przyznam, że do czasu lektury „Ostatniego konklawe” nie była mi znana, ale skorzystałem z Wikipedii i już wiem, że faktycznie istnieje taki nurt w Kościele katolickim.

Ciekawie rozwiązuje też autor pewien zasadniczy problem związany z ideowymi przeciwnikami. Wyjaśnić należy bowiem, dlaczego kościelnych liberałów, członków PO, SLD, a nawet dziennikarzy „Gazety Wyborczej”, można spotkać na mszy świętej, także przystępujących do komunii. I przyznać trzeba, że wyjaśnienie zaproponowane przez autora jest całkiem pomysłowe. Otóż podczas częstych kontaktów z poświęconymi przedmiotami słudzy diabła nabywają pewnej odporności, tak więc nawet pokropienie święconą wodą może na nich od razu nie podziałać.

Ciekawe jest też kompletne ignorowanie katolickich intelektualistów (czyżby także byli sługami szatana?), częste natomiast odwoływanie się do potocznych, ludowych wyobrażeń religijnych.

Podsumowując: „Ostatnie konklawe” jest kiepską i schematyczną beletrystyką, kiepską i schematyczną publicystyką, a jako kreator pobudzających emocje obrazów może być przekonująca tylko dla już przekonanych.

Marcin Robert Bigos